

Mój ogród



EWA WINNICKA

Dziennikarka,
reportażystka,
publicystka.

Kiedy późną wiosną wyglądam przez okno, widzę żywiol, który się zbliża i tylko ponadnaturalny wysiłek mógłby mnie uratować.

Gdybym je otworzyła – następnego dnia w salonie rosłyby dereń, weigela i jaśmin, za kilka tygodni krzaki wiejskiej róży i jeszcze to szalone pnącze, które na razie owinęło się wokół grabi i łopaty pozostawionych przez moją drugą połowę pod drzewem w połowie marca.

Gdybym chciała wyjść do ogrodu, dziś powinnam założyć kalosze, bo trawa sięga połowy łydki. Podejrzewam, że mogły już zamieszkać w niej jadowite węże, za miesiąc trzeba będzie założyć wodery i chwycić maczetę.

To nie jest scena ze *Stranger Things*, to jest po prostu efekt braku umiejętności przewidywania przyszłości. Dwadzieścia lat temu uwierzyliśmy z mężem, że człowiek piszący zawodowo stanie się częścią klasy średniej i wzięliśmy kredyt walutowy, za co nabyliśmy niewielki dom z ogrodem. Był to ukłon w stronę mojego dzieciństwa, które spędziłam, niespodzianka, w domu z ogrodem oraz własnej progenitury. Wydawało mi się, że to będzie dobry

pomysł. Był to także symbol życiowego sukcesu w czasach zapowiadanego końca historii. Poza tym mieliśmy jeszcze zdolność kredytową.

Tak, to jest moment na otarcie łez ze śmiechu.

Początki były ambitne: studio wałam pisma branżowe i na ilustracjach pokazywałam palcem wystudiowaną dzikość nasadzeń. To byłoby to: każda pora roku powinna się mienić inną kolorystyką. Ogród miał zacząć kwitnąć w kwietniu, kończyć w październiku, zimą okieszyć miała wypielęgnowana trawa i rośliny zimozielone. Przywieźliśmy sadzonki i w teorii zaczęliśmy życie właścicieli ziemskich. W naszym ogrodzie rosły stare czereśnie i jabłonie, dęby i modrzewie – mieliśmy dodatkowe punkty startowe.

Pamiętam, jak naszą wesołość budziła pierwszego roku sąsiadka na emeryturze. Kiedy liście dębu zaczęły opadać na jej stronę ogródka, truchtała za nimi najpierw z kijem zakończonym szpikulcem, potem z grabiami. Liście nie miały prawa leżeć na podobnym do nawierzchni Wimbledonu trawniku.

Nasze leżały igniły, bo kurs franka szwajcarskiego właśnie wystrze-

lił w górę i zamiast grabić, braliśmy nadgodziny. Następnej wiosny trawnik miał łysiny, które w lecie wypełnił mech, a jeszcze w następnym roku inne niż trawa niezidentyfikowane rośliny. Jakies złe istoty nadgryzły cebulki tulipanów. Po zasuszeniu kilku rodzajów bylin kwitnących postawiliśmy na nieustraszone krzewy, które nie bały się suszy ani infekcji. Prosiły tylko o podcięcie. Podobnie jak jabłonie, którym wilcze ramiona wystrzeliły w górę.

Którejś wiosny poprosiłam męża o podcięcie krzewów i drzew owocowych. Po dwóch tygodniach wyszedł z piłą na podwórko. Wieczorem nie było ulubionej jabłoni, ledwo uratowałam czereśnię. O mało się wtedy nie rozwiedliśmy.

Dużo czytam o terapeutycznej roli ogrodu.

Wierzę na słowo. Mój mi mówi: czuję się opuszczony, nie dbasz o mnie, nie byłaś gotowa na naszą relację, nie dorostaś do niej. Nie postawiłaś mi żadnych granic, dlatego wchodzę ci na głowę. Dlaczego twój mąż biega tu z siekierą? Czy możesz pójść do ogrodnika? ●